

# **UCZYNIĆ WOLNOŚĆ NIEBANALNĄ PAWEŁ MARCZEWSKI. UCZYNIĆ WOLNOŚĆ NIEUCHRONNĄ. WĄTKI REPUBLIKAŃSKIE W MYŚLI ALEXISA DE TOCQUEVILLE'A**

Jan Tokarski  
Polska Akademia Nauk

/// I

Do książki Pawła Marczewskiego, *Uczynić wolność nieuchronną. Wątki republikańskie w myśli Alexisa de Tocqueville'a*, podchodziłem z rozbudzonymi oczekiwaniami. Z dwóch powodów. Po pierwsze, ze względu na osobę Autora, który w pewnym sensie jest mi bliski. Dla pełnej jasności – nie, nie jesteśmy wieloletnimi kumplami (choć, owszem, znamy się). Chodzi o to, że chyba z nikim nie spotykałem się na łamach tyłu czasopism. Obydwaj od wielu lat współpracujemy z gdańskim „Przeglądem Politycznym”, obydwaj publikowaliśmy w „Kulturze Liberalnej” (on jako jej wicenaczelnny, ja – jako stały felietonista) czy „Tygodniku Powszechnym”. Co więcej, zaliczam Marczewskiego do niewielkiego w gruncie rzeczy grona osób reprezentujących to, co nazwałem kiedyś „metapolitycznym centrum” (Tokarski 2012a) – a zatem pewną wersję liberalizmu, która daleka jest zarówno od prawicowej antynowoczesności, jak i lewicowej potrzeby rewolucyjnego działania.

Po drugie, moje oczekiwania rozbudzała postać Alexisa de Tocqueville'a, być może najważniejszego z wielkich filozoficznych mistrzów tej formuły liberalizmu, która jest mi szczególnie bliska. O Tocqueville'u przez długi czas przecież nie pamiętano. Dopiero w połowie ubiegłego wieku, głównie za sprawą Raymonda Arona, został wydobyty z cienia w samej Francji. Poza nie tak znowu licznym (choć w pewnym okresie niezmiernie wpływowym) środowiskiem francuskich uczniów Arona i osób skupionych wokół pisma „Commentaire” (Pierre Manent, François Furet, Alain Besançon) Tocqueville nie był nigdy zbyt istotny – przynajmniej jako myśliciel „tworzący” nurty refleksji politycznej we współczesnej Europie.

Wywarł, oczywiście, pewien wpływ również w Stanach Zjednoczonych. W Polsce po 1989 roku na przestrzeni ostatnich dwudziestu pięciu lat chyba żadne środowisko nie powracało konsekwentnie do Tocqueville'a jako jednego ze swoich mistrzów. Wyjątkiem byłaby tu wspomniana już luźna konstelacja intelektualistów skupionych wokół redagowanego przez Wojciecha Dudę „Przeglądu Politycznego”.

Kiedy książkę Marczewskiego odkładałem, miałem poczucie niedosytu. Być może wynikało z nazbyt wygórowanych oczekiwań. Być może jednak takie wrażenie nie było dziełem przypadku, lecz ściśle wiązało się z tym, czego w książce faktycznie (a nie tylko w ramach mojego subiektywnego widzimisię) zabrakło. Pisząc niniejszą recenzję, sam szukam odpowiedzi na to pytanie.

### /// II

Po kolei jednak. Przyjrzyjmy się książce Pawła Marczewskiego i spytajmy, co właściwie Autor daje nam do ręki.

Na pierwszy rzut oka jest to dość zwięzły (około 250 stron) i dobrze napisany przewodnik po myśli autora *O demokracji w Ameryce*. Drugie spojrzenie na treść książki ujawnia, że w jeszcze większym, być może, stopniu jest to kompendium wiedzy na temat najprzeróżniejszych komentarzy (głównie amerykańskich i francuskich autorów), jakimi dzieło Alexisa de Tocqueville'a obrosło. Zagłębiając się w lekturę, odkrywamy stopniowo, że najwięcej mówi o niej podtytuł. Marczewski na kartach swej książki koncentruje się na próbie odślonienia skomplikowanych związków liberalizmu Tocqueville'a z tradycją myśli republikańskiej. Analiza ta zostaje przez Autora przeprowadzona bardzo pieczołowicie i stanowi zdecydowanie największą część jego wywodu. W kolejnych rozdziałach widzimy więc, jakie są związki między liberalną a republikańską wizją suwerenności ludu, między wolnością jednostki do swobodnego działania a wolnością wspólnoty do kształtowania swojego losu, między inteligentnym egoizmem postulowanym przez liberalizm a publiczną cnotą, której bronić pragną republikanie. Dalej Marczewski odślania przed nami iście republikański stosunek Tocqueville'a do religii (mam tu na myśli jego pochwałę religii obywatelskiej oraz przekonanie, że jedynie religia może w społeczeństwie opartym na równości ochronić ludzi przed niebezpiecznymi skutkami tej ostatniej). Czytelnik ma również okazję prześledzić bliski republikańskiej tradycji stosunek autora *O demokracji w Ameryce* do historii („tragizm przeciwko determinizmowi”, jak trafnie ujmuje to Marczewski) oraz idei imperium.

Myliłby się jednak ten, kto na tej podstawie wnioskowałby, że Paweł Marczewski napisał pracę dla tych, którzy lubią antykwaryczne ciekawostki

lub których ulubionym intelektualnym zajęciem jest szufladkowanie wielkich umysłowości minionych dziejów („Wreszcie jest jasne, jak to było z tym Tocqueville’em – to republikanin!”). Jego książka nie przez przypadek ukazała się w wydawanej przez IFiS serii „Archiwum Warszawskiej Szkoły Historii Idei”. Ambicje Autora sięgają dalej. Nie chodzi mu tylko o to, by rozwikłać jakieś dawne zawilości dziejów myśli europejskiej. Przeciwnie – pragnie, używając przemyśleń Alexis de Tocqueville’a jako czegoś w rodzaju punktu odniesienia czy wręcz rozbiegu, pokazać te wątki i dylematy, które są ważne i żywotne również z perspektywy dzisiejszej kulturowo-politycznej sytuacji Europy. Nie chodzi więc tylko o to, że Tocqueville’a można ukazać jako myśliciela „hybrydowego”, będącego „łącznikiem między światami, które przez dwudziestowieczne interpretacje ukazywane są jako całkowicie odrębne”. Nie chodzi tylko o to, że charakterystyczne dla francuskiego myśliciela „rozumienie wolności jest otwarte zarówno na myślenie w kategoriach przyrodzonych praw jednostki, jak i sztuki wspólnego działania”; że „cnotę wiąże z dobrze pojętym interesem, a jednocześnie nie pozbawia jej normatywnego, etycznego charakteru i łączy z obywatelskim współdziałaniem”; że „religię traktuje jako źródło aktywności publicznej, a zarazem przestrzeń doświadczenia głębokich, egzystencjalnych dramatów”; że (kontynuując tę przydługą wyliczankę) „historia jest dla niego źródłem wielkości oraz skłania do sceptycyzmu i lęku przed determinizmem”; że „wreszcie imperialna polityka może być [...] zarówno narzędziem aktywizacji obywatelskiej, jak i drogą do tyranii i zniewolenia nie tylko podbijanych ludów, ale też społeczeństw pragnących dominować nad innymi” (s. 28–29). To wszystko prawda, ale Pawłowi Marczewskiemu chodzi o coś jeszcze, o coś więcej – o to mianowicie, by przez pryzmat dzieła Tocqueville’a zmierzyć się z „wielkim pytaniem o wyznaczniki nowoczesnego ładu społecznego” (s. 253). Przyjęty przez Autora punkt widzenia zakłada, że najlepszej po temu perspektywy dostarcza zderzenie specyficznego liberalizmu twórcy *O demokracji w Ameryce* z myślą republikańską; że to w polu znaczeniowym określonym przez te dwie tradycje odbywa się istotny ferment polityczny współczesności. I to właśnie założenie wydaje mi się wątpliwe.

### /// III

Jak – pod piórem Marczewskiego – przedstawia się to napięcie? Jak zderzają się dziś ze sobą, jego zdaniem, liberalizm i republikanizm? „Pytania o to, ile republikanizmu powinno pozostać w liberalizmie, oraz o to, na ile liberalny stawał się republikanizm z nadejściem demokratycznej równości i społeczeństw handlowych, są w gruncie rzeczy pytaniami o to, jaki

rodzaj ładu społecznego ma nieść ze sobą nowoczesność. Czy ideałem jest wiele rozmaitych społeczeństw rządzących się swoimi prawami, zapatrzonych we własną tradycję i mitologizujących własną historię, jak chcieliby «republikańscy» partykularyści, czy też jakiś jeden wzorzec oświeconego prawodawstwa dla wszystkich, jak postulują «liberalni» uniwersaliści? Być może istnieje alternatywa dla tak zarysowanego wyboru – pewien otwarty, ogólny, zrodzony w ramach poszczególnych społeczeństw wzorzec obywatelskiego zaangażowania oparty na patriotyzmie, który każe wspólnie budować instytucje, a nie unosić się narodową dumą, a jednocześnie pozostaje wrażliwy na różne historyczne i kulturowe źródła patriotyzmu” (s. 252) – pisze Marczewski. Za proponowanym przez niego zderzeniem republikanizmu z liberalizmem stoi więc pewna wizja obecnej sytuacji, pewna diagnoza problemów współczesności.

Główny nacisk, jak widzimy, pada przede wszystkim na napięcie wytworzone między tym, co uniwersalne, a tym, co partykularne. Ale nie tylko. Chodzi również o powodowany (pośrednio lub bezpośrednio, świadomie lub wbrew własnej woli) przez liberalizm brak obywatelskiego zaangażowania, powszechne wycofywanie się zwykłych ludzi do sfery prywatnej, byle być jak najdalej od „brudnego” świata polityki. W tym punkcie – jak się wydaje – liberalizm powinien nadrabiać swoje braki względem republikanizmu, który – wzięty sam w sobie – jest, jak przyznaje Autor, czymś anachronicznym i przebrzmiałym: „Ukazując autora *O demokracji w Ameryce* jako wyraziciela republikańskiego umiłowania wielkości polityki i jednocześnie sceptycyzmu nakazującego dostrzegać w każdym wielkim przedsięwzięciu politycznym potencjał porażki, polemizując z tymi interpretacjami jego myśli, które zaliczają go bezwarunkowo w poczet liberalistów podkreślających autonomię jednostki i opiewających cywilizacyjne zdobycze wolnego handlu. Jednocześnie analizując podejmowane przez niego próby «uszlachetnienia» kategorii jednostkowego interesu czy pogodzenia wolności jako dzieła sztuki prawodawczej i obywatelskiej z uznaniem równości jako naturalnej, przyrodzonej zasady demokratycznego stanu społecznego, przeciwstawiam się tym interpretatorom, którzy chcieliby umieścić Tocqueville’a w gronie krytyków indywidualizmu i budowniczych archaicznych utopii, odtwarzających dawne formy kolektywnego zaangażowania w sprawy publiczne czy podtrzymującej gospodarkę agrarną. «Mój» Tocqueville «zmacony» lokuje się poza liberalną ortodoksją i republikańskim anachronizmem” (s. 248).

Wiele w tej diagnozie wydaje mi się trafne, całkiem sporo jest tu „na rzeczy”. A jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że coś istotnego Marczewskiemu umyka, że nie wystarczy dziś „doładować” liberalizmu

republikanizmem, że nie wystarczy (jak to ujmował Thomas Pangle) „uszlachetnić demokrację”. Problem, wydaje mi się, tkwi raczej w redefinicji samego liberalizmu, w konieczności przemyślenia liberalnej tradycji na nowo. Autor *Uczyńć wolność nieuchronną* sugeruje, że przez odwołanie się do tradycji republikańskiej moglibyśmy przywrócić polityce jej utraconą godność (kto dziś wierzy politykom?). Ja twierdzę, że można tego dokonać jedynie z wnętrza samego liberalizmu. Republikanizm wydaje mi się tu zupełnie nieprzydatny – on nie potrafi wytworzyć szacunku dla instytucji politycznych i samych polityków; on je tylko zakłada.

Lecz co to właściwie znaczy „przywrócić godność polityce”? Na czym polega jej dzisiejszy (jeżeli mamy pozostać przy tej dość napuszonej retoryce) „upadek”? Gdybym miał odpowiedzieć na to pytanie, zauważyłbym, że w naszych czasach polityka zamieniła się w teatr. Ale nie w takim znaczeniu, że politycy, zamiast na sejmowej mównicy, występują w telewizyjnych *talk shows*. Polityka zamieniła się w teatr, gdyż ożywiają ją fałszywe, nieautentyczne emocje. Marczewski, cytując Tocqueville’a, pisze o tym zresztą w swojej książce: „Kiedy historia zastąpiona zostaje teatrem, pozostaje odgrywanie pustych gestów: «próbowano w sobie rozniecić namiętności naszych ojców, lecz bez skutku. Naśladowano te ich gesty i pozy, jakie oglądało się w teatrach, bo nie potrafiono naśladować ich entuzjazmu i odczuwać ich szaleństwa». To sytuacja groźna, bowiem aktorzy nie potrafią już powiązać działań z pobudkami, jakie za nimi stały” (s. 188). Ten cynizm wydaje mi się bardzo charakterystyczny dla naszych czasów. Naokoło nas pełno jest przecież konserwatystów, którzy nie wierzą w tradycję; liberalów, którzy obywają się bez wiary w wolność jednostki; rewolucjonistów, dla których sprzeciw wobec „systemu” to tylko rodzaj rozrywki, sposób określenia swojej tożsamości. Polemizowaliśmy z Pawłem Marczewskim kiedyś na ten temat na łamach „Kultury Liberalnej” (Marczewski 2012, Tokarski 2012b). Ten cynizm ma oczywiście wiele przyczyn i błędem byłoby redukować istniejący stan rzeczy do jednego wymiaru. A jednak wydaje mi się, że niebagatelną rolę w jego rozwinięciu miał sam liberalizm, który chce być polem gry, a nie jednym z graczy.

Mówiąc zupełnie wprost: liberalowie nie potrzebują dziś porozumiewać się z republikanami. Potrzebują dotrzeć do teologicznych korzeni własnego światopoglądu; do tego miejsca, w którym rozstrzyga się nasze „za” i nasze „przeciw”. Innymi słowy, musimy (używam pierwszej osoby liczby mnogiej, bo sam uważam się za liberala) powrócić do *stricte* politycznych pytań o polityczny rdzeń naszego światopoglądu. A są to – nie mniejmy złudzeń – pytania niebezpieczne: o legitymację władzy, o prawo do użycia siły, o możliwość konfliktu.

Problem jednak w tym, że współcześni liberalowie boją się władzy, siły, konfliktu. Siły, a więc czego? Wszystkiego tego, co jest mocne, co nas przerasta, ze względu na co bylibyśmy gotowi poświęcić lub odebrać życie. Kiedy człowiekowi brakuje tego elementu, kiedy nie ma niczego takiego, ze względu na co byłby gotów umrzeć lub zabić, z jego życia ulatuje coś niezwykle cennego, staje się, owszem, bezpieczne, ale również miałkie i szare, pozbawione wyrazu. Bo życie domaga się, by była w nim jakaś wartość, która je samo przekracza. Dopiero wtedy – ze względu na owo coś większego, ważniejszego niż samo życie – staje się ono sensowne, warte życia (nie, nie powtarzam tego za Carlem Schmittem, lecz za Janem Patočką). Nie, kiedy mam się buntować, ale kiedy mam być posłuszny – oto prawdziwie polityczne pytanie, pytanie o sprawiedliwą moc.

Liberalizm na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci (właściwie od końca II wojny światowej) zajmował się przede wszystkim kwestią „rozbrojenia” siły, uczynienia jej niegroźną dla zwykłego obywatela. Były ku temu dobre powody i – w rzeczy samej – nie sposób nie przyznać, że władza jest zawsze niebezpieczna, że niesie w sobie ryzyko jej nadużycia. Myliliby się jednak, moim zdaniem, ten, kto samo zagadnienie władzy chciałby traktować jako obce namysłowi liberalów. Gdyby tak było, rację miałby Carl Schmitt, twierdząc, że liberalizm to nie nurt polityczny, ale nurt depolityzujący. Kluczowe dla myśli liberalnej zagadnienie wolności nie daje się według mnie oddzielić od pytania o władzę, której powinienem podlegać, a nie tylko pytania o to, jak władzę „rozbroić”; jak sprawić, by nie zagrażała (lub zagrażała jak najmniej) naszym indywidualnym swobodom.

Żebym był wolny, muszę być w mocy decydować; tylko tam, gdzie istnieje pewne *quantum* mocy, istnieje również i wolność. Tymczasem w naszych czasach cała sfera polityczna (ze zrozumiałych przyczyn) przeniknięta jest do szpiku kości strachem przed mocą, panicznym lękiem przed tym, co moc może ze sobą przynieść. Nikt nie chce już być dziś imperium, każdy ochoczo wybiera natomiast dyskurs ofiary (Niemcy jako ofiara II wojny światowej). Czai się jednak za tym – jak nietrudno się domyślić – wielki szwindel. Po pierwsze, następuje jakaś makabryczna dewaluacja cierpienia, banalizacja samej figury ofiary. To przesunięcie w porządku symbolicznym (zawsze w moim odczuciu dla człowieka najważniejszym) pozwala nam odnosić się z niezrozumiałym chyba nawet dla nas samym cynizmem do dziejących się na świecie okropieństw (gdy wyrzynają się Tutsi i Hutu lub gdy miliony chińskich pracowników są nieludzko eksploatowane w komunistycznych Chinach przy produkcji towarów na kapitalistyczne rynki



zbytu). Po drugie, ponieważ moc wciąż działa w naszym świecie, i to z tą samą co zawsze bezwzględnością. Objawia się tylko w inny sposób, przyobleka w inne maski. Wielka obietnica liberalizmu – zastąpienie polityki opartej na grze sił prawami człowieka – pozostaje niespełniona. Więcej: to sam liberalizm często skrywa w sobie najbardziej wykluczający dyskurs siły (wykluczająca otwartość, opresyjna tolerancja). To sam liberalizm (a właściwie jego dominująca, zdegenerowana forma) doprowadza dziś do przemiany wolności z postawionego ludzkiej kondycji wyzwania w zwykłe dobro konsumpcyjne. To on pomaga wytworzyć (niespełniony całkowicie) ów miękki despotyzm naszych czasów, tyranie dobroduszej opiekuńczości, której nadejście prorokował Tocqueville.

Czy to jednak faktycznie tyrania? – zapyta ktoś. Zgoda, słowem tym należy posługiwać się ostrożnie i nie można – nie da się – postawić znaku równości między tyranią współczesnych liberalnych demokracji a formami tyranii, jakie znamy z przeszłości. A jednak, nawet jeżeli nie można tu mówić o tyranii, to we współczesnych państwach zachodnich (jak i instytucjach ponadnarodowych, takich jak Unia Europejska) jest niewątpliwie coś tyranicznego. Widać to choćby w traktowaniu obywatela jako konsumenta – kogoś, komu państwo ma gwarantować określone prawa, ale kto sam z siebie nie ma (nie powinien mieć) zbyt wiele do gadania. Państwo stanowi tu niejako ucieleśnienie obiektywnego rozumu, jest wielką maszyną uznania<sup>1</sup>. A jako takie nie może być samo przedmiotem wyboru czy decyzji, blokuje kanały artykulacji niezadowolenia, bo wszystko traktuje jako wsobne, jako przerobione już, własne (mniej lub bardziej anachroniczne) elementy. Podobnie jak Marczewski (a wbrew pokoleniu urodzonymu w latach 60., które wprowadziło w obieg polskiej myśli politycznej choćby Carla Schmitta) uważam, że przemóc ten liberalny impas można jedynie z wnętrza samego liberalizmu. Nie pomoże tu ani kontrrewolucyjna gorączka prawicy, ani emancypacyjny zapal nowej (acz wciąż, niemal już od pół wieku, tej samej) lewicy.

### /// V

Paweł Marczewski nie napisał książki o Tocqueville’u – napisał książkę o tym, jak budować bardziej stabilny ład społeczny; z jakich elementów można próbować poskładać współczesną politykę w bardziej koherentną

---

<sup>1</sup> Zauważmy, że emancypacja – o ile zmierza do uwolnienia człowieka od uległości względem czegokolwiek (a nie stworzenia władzy, którą faktycznie mógłby uznać) – jest zawsze projektem depolityzującym.

całość. Jego propozycja polega na tym, aby – przez tyle wnikliwą, co oryginalną lekturę pism Alexisa de Tocqueville’a – dostrzec możliwość twórczego połączenia pierwiastków liberalnych z republikańskimi. Mogłaby ona zaowocować, jak przekonuje Autor, przywróceniem polityce wymiaru szlachetnej sztuki działania<sup>2</sup>, rozbudzeniem obywatelskiej aktywności, wreszcie: twórczym łączeniem partykularnych tradycji z rzeczywistością zglobalizowanego świata.

Ja jednak jestem przekonany, że jeżeli Tocqueville jest dziś aktualny, to z dwóch innych powodów. Po pierwsze, dlatego że odsłania teologiczny wymiar projektu demokratycznego, całe to jego misterne metafizyczne ukorzenie. Po drugie, bo potrafił (z iście genialną intuicją!) odmalować zagrożenia, jakie demokracja ze sobą przynosi – przemiany człowieka w roślinę z prawami. Z tych dwóch aspektów jego dzieła wylania się, moim zdaniem, prawdziwe wyzwanie, przed jakim stają dziś liberalowie – wyzwanie polegające na tym, by określić na nowo (i od samych podstaw), co właściwie znaczy „liberalizm”, jaka jest istota jego politycznego przesłania.

#### Bibliografia:

/// Marczewski P. 2012. *Revolucja jako nasiodówka*, „Kultura Liberalna” 2012, nr 175 (20/2012), <http://kulturaliberalna.pl/2012/05/15/piatek-hiszpania-marczewski-rewolucja-jako-nasiadowka>; dostęp: 09.02.2014.

/// Marczewski P. 2012. *Uczynić wolność nieuchronną. Wątki republikańskie w myśli Alexisa de Tocqueville’a*, Wydawnictwo Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, Warszawa.

/// Pangłe T. 1994. *Uszlachetnianie demokracji*, tłum. M. Klimowicz, Znak, Kraków.

/// Tokarski J. 2012. *O metapolitycznym centrum*, „Kultura Liberalna” 2012, nr 185 (30/2012), <http://kulturaliberalna.pl/2012/07/24/piatek-polska-tokarski-o-metapolitycznym-centrum>; dostęp: 09.02.2014.

/// Tokarski J. 2012. *Revolucja jako rozrywka*, „Kultura Liberalna” 2012, nr 174 (19/2012), <http://kulturaliberalna.pl/2012/05/08/piatek-stany-zjednoczone-tokarski-rewolucja-jako-rozrywka>; dostęp: 09.02.2014.

---

<sup>2</sup> Proszę wybaczyć ten napuszony styl. Nic na to nie mogę poradzić – gdzie republikanizm, tam patos...